ROK VI. CHICAGO, dnia 20 go WRZEŚNIA, 1888. **No. 38**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.
All comunications must be adressed:

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 20 września	Eustachego i Teodora.	Myślisław.
Piątek, 21 września	Mateusza ew. ap.	Bożydar.
Sobota, 22 września	Maurycego męcz.	Zelimir.
Niedziela, 23 września	18-ta po Św. Tekli panny m.	Bogusława.
Poniedziałek, 24 września	M.B. Więz. i Ger.	Homir.
Wtorek, 25 września	Kleofasa M.	Świętopełk.
Środa, 26 września	Józefata B. M.	Ladysław bł.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XVIII tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. IX. od w. 1 *do* 9.

W owym czasie wstąpiwszy Jezus w łódkę, przewiózł się i przyszedł do miasta Swego. A oto przynieśli mu powietrzem ruszonego na łożu leżącego. A widząc Jezus wiarę ich, rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj synu, odpuszczają ci się grzechy twoje. A oto niektórzy z doktorów mówili sami w sobie. Ten bluźni. A widząc Jezus myśli ich, rzekł: Dla czegóż myślicie złe w sercach waszych? Cóż jest łatwiej rzec: Odpuszczają ci się grzechy twoje, czyli rzec: Wstań a chódź? Lecz, abyście wiedzieli, że Syn człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy, tedy rzekł powietrzem ruszonemu: Wstań, weźmij łoże twoje a idź do domu twego! I wstał i poszedł do domu swego. A ujrzawszy rzesze bały się i chwaliły Boga, który dał takową moc ludziom.

POKOJ TORUŃSKI.

Napisał Piotr Zbrożek

Ciąg dalszy.

ZWIĄZEK ZIEMSKO MIEJSKI.

Po bitwie pod Grunwaldem osłabli baruzo krzyżacy, tak jak człowiek, gdy mu dużo krwi utoczą. Zbezwładnieli panowie pruscy. Za to mieszczanie i rolnicy podnieśli się, odetchnęli swobodniej. Poczuli, że są ludźmi i mają prawo być wolnymi. Jednakże ciężyła im na gardle ręka niemiecka. Z wolna się z pod ciężaru wymykali. Już we dwa lata po klęsce pozwolili krzyżacy mieszczanom i rólnikom publicznie, přzez zastępców radzić o sprawach krajowych.

Był to niejako pierwszy krok postawiony, za tym poszły inne, szersze prawa. W lat dwadzieścia dziewięć życie ujarzmionych mieszkańców Prus już płynęło burzliwie, jak rzeka wezbrana na wiosnę. — Przypatrzmy się zjazdowi w Elblągu.

Mnóstwo ludu się snuje. Panowie i mieszczanie. Widać także krzyżaków Niemców, ale ci nieśmiało, chyba z konieczności, przemykają się przez miasto. Deputowani rolnicy i mieszczanie schodzą się na ratuszu. Duża sala wszystkich pomieści. Są tam deputowani miast Królewca, Gdańska, Chełmna, Torunia, Elbląga i ziem. Najdzielniejsi z nich Jan Bajzen, Gabryel Bajzen, Jan Ezengebergier, Augustyn Szwewe, Tileman i inni.

Gdy wszyscy już się zgromadzili, rzekł Jan Bajzen:

— Panowie, rolnicy i mieszczanie! niedola ojczyzny nas sprowadziła. Panowie nasi, Niemcy, już wyczerpali wszystkie zbrodnie i zużyli naszą cierpliwość. Musimy się ratować! Razem, mieszczanie i wieśniacy! *Jedność, ogromna siła!* Dopóki Polacy sami ucierali się z krzyżakami Niemcami, a Litwini sami, dotąd zjednoczeni Niemcy i jednym i drugim szkodzili. Kiedy się oba narody złączyły, biada Niemcom! Pod Grunwaldem poznali potęgę jedności. Ale król polski nie umiał korzystać z klęski wrogów. Trzeba ich było w najcięższej chwili przygnieść, ścigać i nie dać czasu do opamiętania.

Polacy szlachetni puszczali jeńców. Z takim wrogiem, jak Niemcy, nie można być wspaniałomyślnym! Oni nas tępią, należy ich niszczyć, bo sami zginiemy!

Król nas zostawił w rękach wrogów, ratujmy się sami! Niech jeden stanie za wszystkich, a wszyscy za jednego choćby najmizerniejszego z naszych braci.

— Niech żyje *jedność!* niech żyje związek obywatelski! — zawołali obecni i ściskali się za ręce.

Teraz się podniósł z krzesła Augustyn Szwewe i prosił:

— W imieniu wszystkich zebranych tutaj ziemian i mieszczan wzywam cię Janie Bajzen, abyś usiadł na krześle przewodniczącego i abyś kierował naradami.

— Prosimy! — odezwały się głosy.

Pan Bajzen postąpił naprzód, a gdy stanął przed krzesłem naprzeciw zgromadzonych, tak przemówił:

— O czem mamy radzić, wie każdy. Doznajemy tylu krzywd od krzyżaków, że tylko o tem mówić możemy. Nieszczęścia każą nam zapomnieć o całym świecie. Na naszych weselach mówimy o prześladowaniach przez Niemców na nas dokonywanych; na zabawach mówimy o Niemcach, w nocy śnią nam się Niemcy, przez dzień oni nam dokuczają; w modlitwie prosimy Boga, by nam przeciw nim pomagał. I dziś musimy mówić o nich; niech tu przed naszemi oczyma jeszcze raz staną ich krwawe czyny, przypominajmy sobie ich niesprawiedliwość, abyśmy ujrzeli, że musimy wziąć się za ręce, bo inaczej zginiemy.

Tak rzekł i usiadł.

Cicho byli przez chwilę zebrani, jakby jeszcze chcieli słuchać, a oczy ich iskry sypały, a krew uderzyła do twarzy i krwawemi plamami występowała na chmurne czoła. Pięście się ściskały. Tak każdy odczuł boleści narodu.

Wystąpił wreszcie poseł miasta Gdańska:

— My mieszczanie zanosimy skargę przed was, że kupcy nie mają przed krzyżakami bezpieczeństwa. Wiadomo wam wszystkim, że złupili naszych kupców, gdy jechali z towarami do Poznania, a potem ich pozabijali. Nie wspominam o dawnych mordach, ale ten właśnie niedawno dokona-

ny rozbój i krew obywateli miasta Gdańska, niewinnie prze lana, woła o pomstę.

Skończył mówić, a po nim poseł z Torunia się ode zwał.

— Podnoszę skargę na Niemców w imieniu mieszczan. Wiecie, iż krzyżacy, mnichy, wzięli się do handlu; sprzedają zboże i mąkę, a wielkie zapasy. Jako mnichy, powinni się modlić a nie kupczyć. Ale gdyby o tem można zapomnieć, wyrządzają nam krzywdę inaczej. Zebraniają przedawać zboże, dopóki swego nie wyprzedadzą. Przez to nasze zbo że nieraz się psuje na składach, a zawsze tracimy, gdyż pó źniej kupcy mniej płacą.... Zanoszę skargę inną jeszcze. Krzyżacy rozpuszczają fałszywe pieniądze: mieszają złoto z miedzią, a wydają pieniądze za szczerozłote. Tylko z przymusu się je przyjmuje. Niechby się kto uskarżył, że pieniądz taki nie ma wartości, wiemy wszyscy na jakie prześladowania byłby narażony.

Umilkł. Po nim zabrał głos Gabryel Bajzen.

— Krzyżacy narażają nas na niebezpieczeństwo wojny bezustannie i niepotrzebnie. Nie wspominam o czasach da wniejszych, lecz teraz związali się z Duńczykami, przez co Polacy będą obrażeni. Nie dość tego; zawarli przymierze z Polakami, a równocześnie potajemnie namawiają Litwinów aby uderzyli na Polskę, i przyrzekają im pomoc. Litwini przez króla z Polską połączeni pewnie nie uderzą na braci, ale cóż z tego wyniknie? Polacy dowiedzą się o łotrostwie Niemców i rozpoczną wojnę, przez co my ucierpieć musimy, bo tu na naszej ziemi wojna się wytoczy. Włóżmy na krzyżaków obowiązek, aby bez naszego pozwolenia niewolno im było ani toczyć wojny, ani zawierać przymierza z sąsiadami.

Wszystkie te skargi spisywali ustanowieni pisarze.

Gdy usiadł Gabryel Bajzen, odezwał się Tileman:

— Niech pisarze zapiszą to także, co ja mam powiedzieć. Krzyżacy nie powinni na nas nakładać ani żadnych podat ków, ani ceł, bez naszego zezwolenia. Dotąd znosilismy wszystkie daniny cierpliwie, a oni z tego bicz na nas ukręcili. Teraz upomnijmy się o swoje prawa, nie dajmy się uciemię-

żać za własne pieniądze! Lud nasz zmuszają do robót i posług urzędnicy, jak im się podoba. Przy pomiarach gruntu z jednego morga robią pięć, i każą od tego płacić podatek.

Nie potrzebuję więcej wyliczać zbrodni. Znane nam nazwiska niewinnie pomordowanych. Wiemy, że Niemcy nie szanują ani praw ludzkich, ani Boskich nawet. To też kara Boska dościgła ich pod Grunwaldem. Szkoda, że król Władysław Jagiełło nie umiał zgnieść wrogów od razu. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak wziąć się za ręce, w własnym rozumie szukać porady, w jedności siły, a w własnej sile ocalenia.

Długo jeszcze radzili i spisywali. Po skończonej naradzie przewodniczący Jan Bajzen kazał pisarzowi odczytać spisane skargi i rzekł na zakończenie.

— Odtąd jesteśmy związani. tak że jeden stanie za wszystkich, a wszyscy za jednego. Gdyby kogo skrzywdził krzyżak, udamy się do wielkiego mistrza; a jeżeli to nie pomoże, wystąpimy wszyscy zbrojno i pomścimy krzywdy. To pismo, któreście kazali spisać, podamy mistrzowi; ale musi być podpisane. Jako przewodniczący naznaczam w przyszłym roku kwietną niedzielę do podpisania. Każda ziemia przyśle czterech posłów, każde miasto dwóch. Posłowie mają wziąć ze sobą pieczęcie, aby je na tem piśmie przyłożyć. A teraz przez podanie ręki przyrzeczmy sobie, że co na zjazdach uchwalimy, to utrzymamy, choćby przyszło poświęcić majątek, zdrowie a nawet i życie.

Wszyscy podnieśli się z krzeseł i po kolei postępowali do przewodniczącego, każdy podawał mu rękę i wymawiał głosno, wyraźnie, dobitnie: „Przyrzekam!“

* * *

W niedzielę kwietną w Kwidzynie na ratuszu był Jan Bajzen. Brzed nim na stole leżał spisany akt na dużym arkuszu pergaminowym, a posłowie ziem i miast przychodzili z pieczęciami i pieczętowali.

Wielki mistrz przyjechał także do miasta i stanął na zamku. Widząc jak tłumnie spieszą Prusacy do pieczętowania skargi, posłał komandora (wysokiego urzędnika), by odradzał. Komandor wrócił z miasta.

— Oczekuję cię niecierpliwie! — zawołał mistrz. — Cóż zrobiłeś w ratuszu?

— Przychodzę z niczem — odrzekł. — Gdym wszedł do sali, gdzie akt pieczętowano, wszyscy milcząc ustąpili, a Bajzen grzecznie zapytał mię, po co przychodzę, rzekłem:

— Wielki mistrz niemieckiego zakonu wzywa zebranych posłów miast i ziem, aby się rozjechali do domu.

— Chętnie usłuchamy rozkazu — odrzekł Bajzen, ale po opieczętowaniu aktu.

— Jakto, Bajzenie! zachęcasz drugich, aby jakieś akta pisali przeciw nam, panom pruskim?

— Nie zachęcam, ale razem z braćmi postanowiliśmy bronić się przed nadużyciami i gwałtami zakonu.

— Przecież teraz nic wam złego nie wyrządzamy.

— Dlatego my spokojnie akt piszemy, a gdybyście chcieli użyć siły, wtenczas i u nas siła się znajdzie. Wracajcie do mistrza, bo daremniebyście tu czekali; my nie damy się odwieść od zamiaru.

— Możebyście zechcieli wezwać także do narady mistrza lub którego urzędnika niemieckiego?

— U nas narada skończona i już postanowiliśmy.

— Przez takie pismo narazicie zakon. Rząd się pogniewa.

— My nie wywołujemy burzy, nie zaczepiamy, i cierpliwi będziemy. Postępujcie i wy tak samo. Nie wpadajcie na nas, nie mieszajcie się do naszych spraw, bądźcie sprawiedliwi, a będzie spokój.

- Cóż odpowiem wielkiemu mistrzowi?

— Możesz powiedzieć, coś widział i słyszał.

Tak skończył Bajzen i nisko się skłonił.

Zdawszy w ten sposób sprawę z poselstwa, umilkł komandor, i czekał co mistrz odpowie.

— To bunt widoczny! — wrzasnął mistrz wielki.

— Bunt! — odrzekł komandor.

— Trzeba będzie myśleć o przełamaniu uporu poddanych; bo jeżeli tak dalej pójdzie, w takim razie sami nie będziemy tu mieli co robić. Zabronią nam wybierać podatki,

zabronią wydawać pieniądze na wojsko, zabronią wojować z Polakami, i sprowadzą nas na żebraków. Potem zechcą z naszych rąk odebrać sądy, zażądają, by im pozwolić własne mieć wojsko.... Nie, — tak być nie może! Poślę do cesarza niemieckiego, całe Niemcy wezwę na pomoc; dopóki zakon jest w Prusiech, dopóty niemieckiego panowania na ziemi. Niemcy muszą nas bronić, jeżeli chcą, żeby Prusy były kiedyś Niemcami.... Bez pomocy już nie damy rady.... Pod Grunwaldem straciliśmy potęgę, teraz już tylko dyszymy: nasi poddani się podnieśli i są silni.

— Musimy rzucić się do Niemiec, bo nas dotychczas za mało, aby tę ziemię zagarnąć dla Niemców.

Tak radzili panowie pruscy, a tymczasem obywatele podpisali związek miast i ziemian do wspólnej obrony przeciw Niemcom, i rozjechali się do domów. C. d. n.

Zdobycie Jerozolimy.

Dokończenie.

Książęta i dostojnicy kościoła, — posłowie różnych monarchów, duchowni wszelkiego stopnia, krocie ludu, stawili się na wezwanie ojca świętego, — mieszcząc się jak kto mógł, po kościołach, klasztorach, a nawet w namiotach i szałasach rozbitych na polu. Przedewszystkiem uchwalono zgodę i pojednanie powszechne, grożąc klątwą każdemu, ktoby chciał zakłócić pokój publiczny. Następnie obmyślono środki utrzymania dla wdów i sierót po tych, którzy polegną w czasie wyprawy. Na drugiem posiedzeniu Papież otoczony kardynałami zasiadł na przygotowanym tronie.

Przed nim na płaszczyznie stało tysiące ludu. Piotr, w pustelniczym płaszczu, znajdował się przy boku Papieża i na wezwanie ojca świętego zabrał głos, opisując w wyrazach pełnych uniesienia i zapału, cierpienia mieszkańców Palestyny i pielgrzymów zwiedzających święte miejsca, — świętokradztwa i nadużycia, jakich się ciągle dopuszczali Muzułmanie. „Widziałem, — mówił on, — nabożeństwa przerwane

przez niewiernych, napadających zbrojnie świątynie pańskie, — widziałem kapłanów odrywanych od ołtarza i wleczonych na śmierć.“ Opowiadanie jego przerywane łzami i west chnieniami, wzbudziło ogólne oburzenie i niezmierne wzru szenie. Zakończył prośbą, aby Chrześcianie europejscy nie bawem pospieszyli z ratunkiem i pomocą braciom swym, ję czącym pod jarzmem Saraceńskiem.

Gdy Piotr przestał mówić, powstał Papież, przedstawił zgromadzonym stan upokorzenia i hańby, w jakim znajdują się miejsca urodzenia i męki Zbawiciela, mówił, że wyswobo dzenie Palestyny i miasta drogiego Bogu, jest rzeczą chwa lebną. Lud nie mógł uśmierzyć się, wszyscy wołali, że wy prawa do Palestyny jest konieczną i w jednej chwili powietrze zabrzmiało tysiącznemi okrzykami: *Bóg tego chce; Bóg tego chce.*“

„Tak jest“ powtórzył papież „*Bóg tego chce*, a ten o krzyk niech będzie hasłem wojennem rycerstwa, biegnącego na wyswobodzenie Jerozolimy.“ Potem ukazał im krzyż mówiąc: „Oto jest święte godło odkupienia, pod niem się zgromadźcie, — niechaj błyszczy na waszych chorą gwiach i zbrojach. Ktokolwiek mierzy uczestniczyć w wy prawie świętej, winien nosić krzyż Pański na ramionach, lub na piersi i tym sposobem spełni zalecenie Pana, który rzekł: Kto nie bierze mego krzyża i nie idzie za mną, nie jest mnie godzien.“

Zaraz tedy przystąpił Ademar, biskup z Puy i z rąk Pa pieża przyjął tę oznakę, składającą się z dwóch kawałków czerwonej materyi, i przypiął ją na swych szatach. Za jego przykładem poszedł kwiat rycerstwa. Godfryd de Bouillon, książę Lotaryngii i Brabantu, — bracia jego Eustachy i Baldwin, — Robert książę Normandyi; Hugon Francuzki, brat króla Filipa; — Rajmond de Saint Gilles, hrabia Tulu zy; Godfryd de la Tour de Limoges i niezliczona ilość hra biów, baronów, rycerstwa i ludu.

Dzień ruszenia w pochód naznaczono na 15 sierpnia 1096 roku. Ademar biskup Puy otrzymał godność i władzę legata apostolskiego.

Nie będziemy wam opisywać wszystkich przygód i dolegliwości, jakich doznawali *Krzyżownicy* w czasie pochodu, trwającego lat parę. Nadmienimy wam tylko, że po krótkim pobycie w Konstantynopolu zdobyli miasto Niceę w Azyi, Laodyceę, Antyochią w Syryi, Edesę, Trypoli i wiele innych miast i zamków. — Po zdobyciu Antyochii zmierzali prosto do Jerozolimy. Zdziesiątkowani w krwawych bitwach, — wycieńczeni głodem, upałem, chorobami i nużącym pochodem, zapomnieli o wszystkich cierpieniach i w nieopisany wpadli zapał, ujrzawszy przed sobą mury Jerozolimy.

Aladyn, albo Iftikhar, namiestnik kalifa Egipskiego władającego wówczas Palestyną, zamknął się w mieście z czterdziestoma tysiącami Turków i Arabów, zamierzywszy bronić się do upadłego.

Nazajutrz po przybyciu, rycerstwo chrześciańskie zajęło stanowisko bojowe.

U stóp ich płynął strumień Cedron, po bokach rozciągały się: dolina Józefata i dolina Ennom. Góra Syon, góra Oliwna i Kalwarya przypominały najpierwsze chwile życia i męki Zbawiciela. Stąpali po miejscach zroszonych krwią Chrystusa. Tu On był, tu stał, — tu lud nauczał, tu błogosławił, tu przelał Krew Swoją za odkupienie ludów. Z dniem też każdym wzrastała niecierpliwość, — aby co prędzej przystąpić do szturmu.

14 lipca 1099 r. o wschodzie słońca ozwały się trąby w obozie chrześciańskim, dając znak boju. Całe rycerstwo rzuciło się do broni, olbrzymie machiny i ruchome wieże poruszały się zwolna. W stronie południowej, wschodniej i północnej miasta, trzy takie wieże przysunięte do samych murów, a w pośród okrzyków chrześcian i szyderstw pohańców, którzy ufni w moc murów, niewątpili o bezowocności usiłowań chrześciańskich.

Gotfryd de Buillon książę Lotaryngii, jeden z głównych wodzów i najwaleczniejszy rycerz chrześciański, ukazał się na szczycie najwyższej wieży ruchomej. Otoczony braćmi, Eustachym i Baldwinem, zachęcał rycerstwo słowem i przykła

dem, a każdy pocisk rzucony jego dłonią, niósł śmierć w szeregi Saracenów.

Pierwsze starcie było straszliwe, — opór oblężonych równał się odwadze i zapałowi oblegających. Strzały, ogień, gorący olej płynęły na chrześcian, a pod koniec dnia wieże Gotfryda i Rajmunda runęły w szczątki.

Noc przerwała dwunastogodzinną bitwę. Chrześcianie przejęci boleścią powrócili do obozu.

Obie strony przez całą noc naprawiały uszkodzenia i gotowały się do nowej walki, mającej się rozpocząć dnia następnego.

Nazajutrz, takiż sam zapał, taż sama zaciętość ze strony Krzyżowników, podobny opór i nieustraszona zapamiętałość ze strony niewiernych, którzy z murów rzucali na oblegających zapalone pochodnie i lali wrzącą smołę. Wszelako drewniane wieże przybliżały się co chwila, bez względu na szerzący się pożar. Wszystkie wysilenia pohańców zwrócone były na wieżę Gotfryda, uwieńczoną krzyżem złotym. — Krzyż ten, godło wiary chrześciańskiej wprowadził ich w rozpacz.

Gotfryd był nieulękniony. Walczył na stosie trupów i rannych. Wszyscy inni wodzowie po rycersku pełnili swą powinność. -- Bój trwał pół dnia, a chrześcianie nie mieli jeszcze nadziei zrobienia wyłomu Wszystkie ich machiny płonęły; -- najdzielniejsi wojownicy padali jeden po drugim, ci wskutek ran zadanych pociskami wroga —tamci wskutek pożaru. Nastąpiła chwila obawy i zwątpienia. Zrozumieli to Saraceni i wydali okrzyk radości i tryumfu.

Nagle na górze *Oliwnej* ukazał się rycerz konny, świetną okryty zbroją i poruszający puklerzem. „Swięty Jerzy! Swięty Jerzy!“ zawołali chrześcianie. Widok ten wlał w nich odwagę. W jednej chwili chwycili za oręż i znowu rzucili się ku murom miasta. Wszyscy, — nie wyłączając kobiet, dzieci i chorych, podwajają usiłowań, — niosą oręże, wodę, uprzątają gruzy i zapory. Wieże ruchome dotykają już ścian Jerozolimy, Gotfryd stoi w pośród płomieni, a z jego wieży spada most i łączy się z wałami. — Wiatr zmienia kierunek;

— dym i ogień otaczają Saracenów, którzy cofają się w nieładzie przed mieczami i kopiami Krzyżownków.

Gotfryd otoczony wyborem rycerstwa gna przed sobą tłum niewiernych i wdziera się do wnętrza świętego miasta, za nim wali się całe chrześciaństwo i sprawia straszliwą rzeź w szeregach nieprzyjacielskich. Zewsząd słychać okrzyki: „*Bóg tego chce, Bóg tego chce.*“ Żołnierze ściskają się, całują, śpiewają dziękczynnne hymny. Jerozolima zdobyta 15 lipca 1099 r. w piątek, o godzinie trzeciej po południu, to jest w dniu i godzinie Męki Pańskiej.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Następnego dnia 29 go października wszedł Konstantyn ze swojem zwycięzkiem wojskiem do miasta Rzymu, Senat towarzyszył zwycięzcy a wszystek lud, poganie i chrześcianie, witał go z największem uniesieniem, bo teraz uwolniony był od tyrana i spodziewał się, że Konstantyn lepiej i łagodniej panować będzie. Przez ogrody Nerona przy grobie Apostoła Piotra św. przesuwał się pochód zwycięzki Konstantyna. Był to zarazem pochód zwycięzki owej wiary katolickiej, którą rybak galilejski przedtem przyniósł do Rzymu. Wśród tej wielkiej radości Konstantyn nie zapomniał o Bogu chrześcian, który mu dopomógł zwyciężyć, bo chociaż Rzym był miastem pogańskiem, to jednak cesarz Konstantyn publicznie wyznawał przed wszystkimi ludźmi Ukrzyżowanego a od bożków się odwrócił. Odstąpił od zwyczaju zwycięzkich cesarzy i wodzów i nie poszedł na Kapitol, gdzie składano ofiary dziękczynienia bożkom, ale poszedł do senatu a potem do cesarskiego mieszkania. Gdy później postanowiono w miejscu najludniejszem na cześć jego postawić posąg, rozkazał, aby na tym posągu mu był dany do ręki krzyż a napis sam Konstantyn taki ułożył: „Przez ten zbawienny znak, prawdziwy znak waleczności uwolniłem wasze miasto od jarzma tyrana i przywróciłem senatowi i rzymskiemu narodowi dawniejszą godność i dawniejszą sławę.“

Gdy w ten sposób Konstantyn stał się panem całego państwa zachodniego i publicznie religię katolicką wyznawał, czcił także jej sługi, a przedewszystkiem rzymskiego papieża, głowę widzialną całego Kościoła. Ostatnie miesiące roku 312 Konstantyn przebywał w Rzymie a na początku r. 313 udał się do Medyolanu. Podczas swego pobytu w Rzymie podarował Konstantyn Papieżowi Melchiadesowi i jego następcom Lateran na mieszkanie. Lateran składał się z kilku domów, które tworzyły bardzo wielki pałac i który należał do żony Konstantyna Fausty, pochodzącej z familii Lateranus. Papież zaraz ten pałac wziął w swoje posiadanie i od tego czasu Lateran przez blisko 1000 lat był mieszkaniem papieży. Tak więc rok 312 tem się zakończył, iż kościół katolicki miał dawno już wyczekiwany zewnętrzny pokój z państwem zachodniem i Afryką, po którym wkrótce miał nastąpić pokój z państwem wschodniem. Konstantyn od tego czasu wszelkiemi sposobami dopomagał do rozszerzania się chrześciaństwa. Gdy wrócił z Rzymu do Medyolanu cesarz Licinius przybył ze Wschodu, aby go tam odwiedzić i ukończyć wyżej wspomniany związek małżeński z Konstancyą. A na początku roku 313 Konstantyn ogłosił słynny edykt (rozporządzenie), do którego i Licinius się przyłączył i przez który oba cesarze orzekli, że chrześcianie w ich państwach mogli wykonywać swoją religię i każdemu wolno było zostać chrześcianinem, i że kościoły i dobra chrześcianom pozabierane miały im być napowrót zwrócone. C. d. n.

CÓRKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

„Bo kto musi w obce kraje
Lecieć, serce mu się kraje,
Łez wylewa gorzki zdrój.“—
Konstanty Zakrzewski.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Tobolsk, dawniejsze główne miasto Syberyi, a dotąd jedno z znaczniejszych miast Syberyi zachodniej, leży nad Irtyszem, jedną z wielkich rzek tego ogromnego kraju, który

się stąd jako dolina około 1100 wiorst aż do morza lodowatego rozciąga. Tę równinę pokrywają ogromne bory i bagniste trzęsawiska. Ku morzu lodowatemu rosną jeszcze tylko mchy — wszelkiej innej roślinności brakuje. Wielkie rzeki, które w dolnym biegu tylko ku końcowi lata są wolne od lodu, nie użyzniły jeszcze nigdy łąki. Idąc za ich biegiem ku północy spostrzeżemy, iż tam nikną cedry, brzozy i jodły, jak w ogóle wszelkie drzewa i tylko skarłowaciałe modrzewie i brzozy stanowią jedyną ozdobę tych pustyń. Wreszcie oko podróżnego spostrzega tylko mchem pokryte bagniska jako ostatnie wysilenie przyrody — a dalej niknie wszelki ślad roślinności. Atoli i tutaj pośród grozy wieczystej zimy okazuje przyroda jeszcze wspaniały przepych w częstych i przecudnych północnych zorzach, obejmujących widnokrąg w kształcie świecącej góry, z której ogromne słupy ruchomego światła wychodzą. Te zorze północne w północnych okolicach są widowiskami, których cudownego piękna południowe narody nie znają. Na południu od Tobolska rozciąga się pustynia Iszynu, którą od kraju Kirgizów, pogańskiego pasterskiego ludu oddzielają stepy, zasiane kurhanami i poprzerzynane gorzkiemi jeziorami. Z lewej strony ograniczona Irtyszem gubi się ona na południowym wschodzie na granicach Chin i rozciąga się ku prawej ręce aż do Tobolu. Brzegi tej rzeki są nagie i strome; widać na nich tylko resztki skał popękanych, nad którymi się niezliczne jodły wznoszą. U ich stóp w zagięciu Tobolu leży wioska Saimka, oddalona 600 wiorst od Tobolska. Położona na skrajnej granicy powiatu w pośrodku pustyni wygląda z okolicą ponuro jak ich słońce i smutno jak ich klimat.

Mimo to jednak nosi powiat iszyński przydomek „sybirskich Włoch," ponieważ posiada nieco lata, gdyż zima w tych okolicach trwa tylko 8 miesięcy. Zato jest ona nadzwyczaj surowa. Nieustannie powiewający wiatr północny sprowadza śniegowe zaspy i tak ostre, przejmujące zimno, że Tobol od września już zamarza. Gęsty śnieg pokrywa tutaj ziemię i nie taje przed początkiem miesiąca maja. Odtąd atoli poczynają drzewa z cudowną szybkością rozwijać

liście, a pole pokrywać się zieloną runią. Dwa lub trzy dni wystarczają do rozwinięcia wszelakiego kwiecia. Możnaby sądzić, że się słyszy szmer wzrastania roślin; brzozowe bazie wyziewają zapach, podobny do woni róży. Stada pstrych kaczek i śnieżnych gęsi uwijają się na powierzchni jezior. Biały żuraw nurza się w oczerecie samotnych bagien dla usłania gniazda — a w lasach widać wiewiórkę, skaczącą z drzewa na drzewo i przerzynającą powietrze łapkami i napuszystą kitą ogona. Zwierzęta, ożywiające te zimne okolice mają jeszcze szczęśliwe dni — nie znają ich jednak ludzie, tutaj wygnani.

Największa liczba tych nieszczęśliwych mieszka po wsiach na brzegach rzeki Tobolu aż do granic iszyńskiego stepu; inni muszą zajmować chaty w pośrodku pustyni. W najnowszym czasie zwrócił uwagę rosyjski rząd na wyspę Sachalin, odstąpioną od Japonii jako miejsce wygnania. W czasach, kiedy się nasza powieść zaczęła, zachodnia Syberya, osobliwie gubernia Tobolska była zwykłym krajem wygnania. Jednym z wygnańców dostarczał rząd środków do utrzymania; inni żyli z towarów — prawie wszyscy byli przedmiotem politowania i do dziś dnia nazywają ich zesłańcami.

Dwie lub trzy wiorsty od Saimki wśród bagnistego i kałużami poprzerzynanego lasu na brzegu okrągłego, głębokiego, topolami ograniczonego jeziora mieszkała taka rodzina wygnańców czyli zesłanych. Składała się ona z trzech osób: czterdziestopięcioletniego mężczyzny, jego żony i ich urodziwej, młodością kwitnącej córki.

Otoczona pustynią z nikim ta rodzina nie obcowała. Ojciec wychodził samiuteńki na łowy, nigdy nie zaglądał do Saimki, nigdy tam nie widziano także jego żony i córki; oprócz młodej tatarzynki, która u nich służyła, żadna istota nie miała przystępu do ich chaty. Nie znano ani ich rodzinnego miejsca, ani pochodzenia, ani przyczyny ich wygnania. Gubernator Tobolska tylko sam jeden wiedział o tajemnicy; lecz nawet naczelnikowi Saimki nie powierzył takowej. Skoro pod jego nadzór oddał wygnańców, rozkazał mu tylko dać im wygodne mieszkanie, mały ogródek, poży-

wienie i odzież, a surowo wzbronił jakiegokolwiek obcowania na zewnątrz, a przedewszystkiem polecił mu przejmować wszelkie listy, któreby próbowali przesłać do cesarskiego dworu w Petersburgu. Tyle względów z jednej strony, z drugiej tyle bezwzględności i tajemnicy zdradzało, że proste nazwisko Piotr Wschodnik, jaką wygnańcowi dawano—słynne nazwisko, osobliwszą niedolę, wielką zbrodnię może, albo też wielką niesprawiedliwość ukrywało. Ludzie jednak oswoili się powoli z tymi stosunkami. Czasem tylko, gdy jaki myśliwy przypadkiem przybył na brzegi jeziora i chciał się dowiedzieć o nazwie mieszkańców tej chaty, odpowiadano mu: „To są nieszczęśliwi zesłańcy!“ Myśliwy oddalał się z politowaniem, nie pragnąc dowiedzieć się o czemś więcej.

Piotr Wschodnik sam sobie mieszkanie zbudował z sosnowego drzewa, a pokrył je słomą, skały chroniły je od północnego wiatru i wystąpienia jeziora. Od południa był las przetrzebionym wyrębem, gdzie było widać rozległe dzikie pastwiska, pokryte kurhanami. Kurhany te, z których niejedne rozkopane i zrabowane były, zawierały resztki plemienia, które może wśród mongolskich zagonów wytępionem zostało. Kości jego możeby były w spokojnem zapomnieniu tutaj spróchniały, gdyby zakopane wraz z niemi słabe pierścienie i inne ozdoby nie były podrażniły chciwości. Na wschodzie tej obszernej równiny była od chrześcian wystawiona drewniana kaplica. Można było zauważyć, że po tej stronie groby były nietknięte.

Wśród długiej i ostrej zimy spędzał Wschodnik poranki na łowach: zabijał on reny, żywiące się młodemi liśćmi drzew, strzelał niekiedy sobole, które jednak w tej okolicy rzadkimi się stały - gronostaje zaś w wielkiej ilości. Ze sprzedaży futer tych zwierząt sprowadził on z Tobolska wygodne meble i sprzęty dla żony i książki dla córki. Długie zimowe wieczory poświęcone były nauczaniu Marty. Z czasem też połączyła ona w sobie odwagę i delikatne uczucie: energią ojca i piękne niewieście przymioty matki Feodory.

Kiedy śnieg począł tajeć, zajmowała się cała rodzina robotami w ogrodzie. Na południowej jego stronie założył

Wschodnik rodzaj cieplarni, w której z osobliwszem staraniem obce kwiaty hodował. Kiedy one już rozkwitły, przyciskał je on do ust, pokazywał żonie i stroił nimi główkę córki, mówiąc: „Marto, uwieńcz się kwiatami ojczyzny -- one podobne są tobie — podobnie jak ty i one stają się piękniej szymi na wygnaniu. Ach, obyś tylko jak one nie umarła na wygnaniu!"

Oprócz tych chwil czułego wzruszenia był on zawsze milczący i poważny; widziano, jak całemi godzinami na ławie siedział, zatopiony w głębokich marzeniach, z wzrokiem, utkwionym nieruchomo w dal, a czasami głęboko wzdychał. Widok córki napełniał go jeszcze większą goryczą. Przygarniał on ją często w ramiona, przyciskał gorąco do serca -- lecz oddając ją znowu matce wołał: „Odprowadź mi stąd Feodoro! to dziecko; jej nędza i twoja okropnie mię martwią. Ach, dlaczegoż poszłaś za mną? O! gdybyś mi była dała udać się tutaj samemu; gdybym wiedział, że spokojnie i z honorem w ojczyźnie żyjesz, sądzę, żebym żył w tej pustyni bez narzekań."

Czuła Feodora płakała; jej spojrzenia, słowa, wszystko w niej zdradzało głęboką miłość, którą ją z mężem łączyła. Nie mogłaby ona żyć szczęśliwie jednego dnia bez niego. Lubo Feodora z górą 30 lat liczyła, była jeszcze ciągle piękną; w jej małem mieszkaniu panowały ład i czystość. Okopcone jego ściany były ozdobione haftami, wykonanymi przez Feodorę i jej córkę. W oknach były szklanne szyby — osobliwszy zbytek w tym kraju, który zawdzięczano dochodowi Wschodnika z łowów. Resztę chaty stanowiły dwie izdebki: w jednej spała Marta, w drugiej tatarzynka. C.d.n.

Ofiara bałwochwalstwa. W Indyach, w pobliżu Nangapora, niedawno poświęcony został 16 letni chłopiec na ofiarę bogom, w celu przebłagania ich i sprowadzenia urodzaju. Przesąd ten silnie zakorzeniony wśród miejscowej ludności, pozbawił życia już niejednego Indyanina. I tym razem przeznaczonemu na ofiarę młodziencowi ucięto głowę i ofiarowano jakiejś bogini, a tułów bogom. Policya angielska rozwinęła energiczną działalonść w celu wyszukania winnych tej zbrodni, którzy mają być surowo ukarani dla przykładu i wytępienia tego krwawego przesądu.